

**portret  
online  
24**

Agata Suwała

## Historia o Żydzie, ponowoczesnym tułaczku

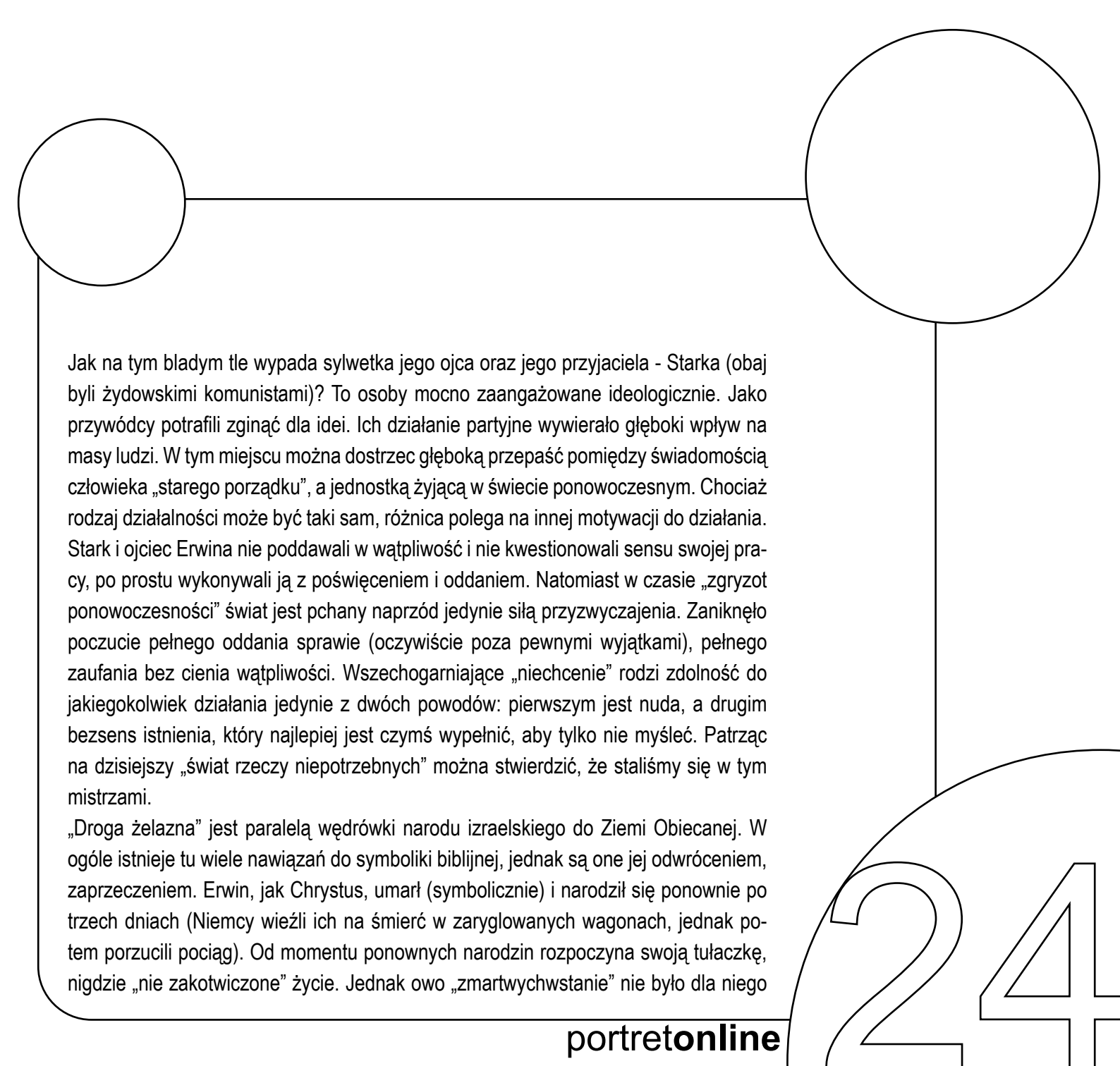
jedna z najlepszych powieści o cierpieniu i pamięci  
„Chicago Tribune”  
AHARON APPELFELD  
DROGA ŻELAZNA

Jeszcze jedna powieść o Żydzie - tułaczku? Tak, tylko o takim, który stał się ofiarą ponowoczesności, który boryka się z brakiem „zakotwiczenia”, poczuciem niepewności istnienia i niedookreśleniem swojej tożsamości, który jako człowiek ponowoczesny sam kreuje własną tożsamość, odcina się od dziedziczności. Innymi słowy bierze całą kulturę i tradycję w nawias. W takiej sytuacji postawa Żyda jest wyjątkowo trudna, ponieważ nikt inny tak jak naród izraelski nie został obarczony brzemieniem swojego dziedzictwa.

Postawa głównego bohatera powieści „Droga żelazna” Aharona Appelfelda, bo o niej mowa, wydaje się być wewnętrznie sprzeczna. Z jednej strony Erwin Siegelbaum jest stróżem prawa i moralności żydowskiej - poszukuje mordercy swoich rodziców, aby wziąć na nim odwet oraz penetruje stare targi w celu odnalezienia zaginionych przedmiotów kultu religijnego. Z drugiej strony, to człowiek zdominowany przez własne słabości, którym często ulega. Taki też był punkt wyjścia jego wieloletniej podróży: „Gdyby nie nocne koszmary, nie wiadomo czy kiedykolwiek ruszyłbym dalej w drogę. Koszmary to mój ukryty poganiacz” (s. 27-28).


Interpretując jego zachowanie, można bez wahania stwierdzić, że jest on jednostką, która poświęca życie dla ratowania pamięci o swoim narodzie. Jednak ta pozornie niekwestionowana szlachetność jest podszyta egoizmem. Chęć poszukiwania mordercy rodziców (nadrzędny cel wędrówki) jest niczym innym jak nadaniem sensu beznadziejności istnienia. Nie liczy się tutaj rodzaj działania (równie dobrze jego celem mogłoby być coś innego), ale świadomość posiadania „wytucznych” w życiu.

24  
portretonline



Jak na tym bladym tle wypada sylwetka jego ojca oraz jego przyjaciela - Starka (obaj byli żydowskimi komunistami)? To osoby mocno zaangażowane ideologicznie. Jako przywódcy potrafili zginąć dla idei. Ich działanie partyjne wywierało głęboki wpływ na masy ludzi. W tym miejscu można dostrzec głęboką przepaść pomiędzy świadomością człowieka „starego porządku”, a jednostką żyjącą w świecie ponowoczesnym. Choć rodzaj działalności może być taki sam, różnica polega na innej motywacji do działania. Stark i ojciec Erwina nie poddawali w wątpliwość i nie kwestionowali sensu swojej pracy, po prostu wykonywali ją z poświęceniem i oddaniem. Natomiast w czasie „zgryzot ponowoczesności” świat jest pchany naprzód jedynie siłą przyzwyczajenia. Zaniknęło poczucie pełnego oddania sprawie (oczywiście poza pewnymi wyjątkami), pełnego zaufania bez cienia wątpliwości. Wszechogarniające „niechcenie” rodzi zdolność do jakiegokolwiek działania jedynie z dwóch powodów: pierwszym jest nuda, a drugim bezsens istnienia, który najlepiej jest czymś wypełnić, aby tylko nie myśleć. Patrząc na dzisiejszy „świat rzeczy niepotrzebnych” można stwierdzić, że staliśmy się w tym mistrzami.

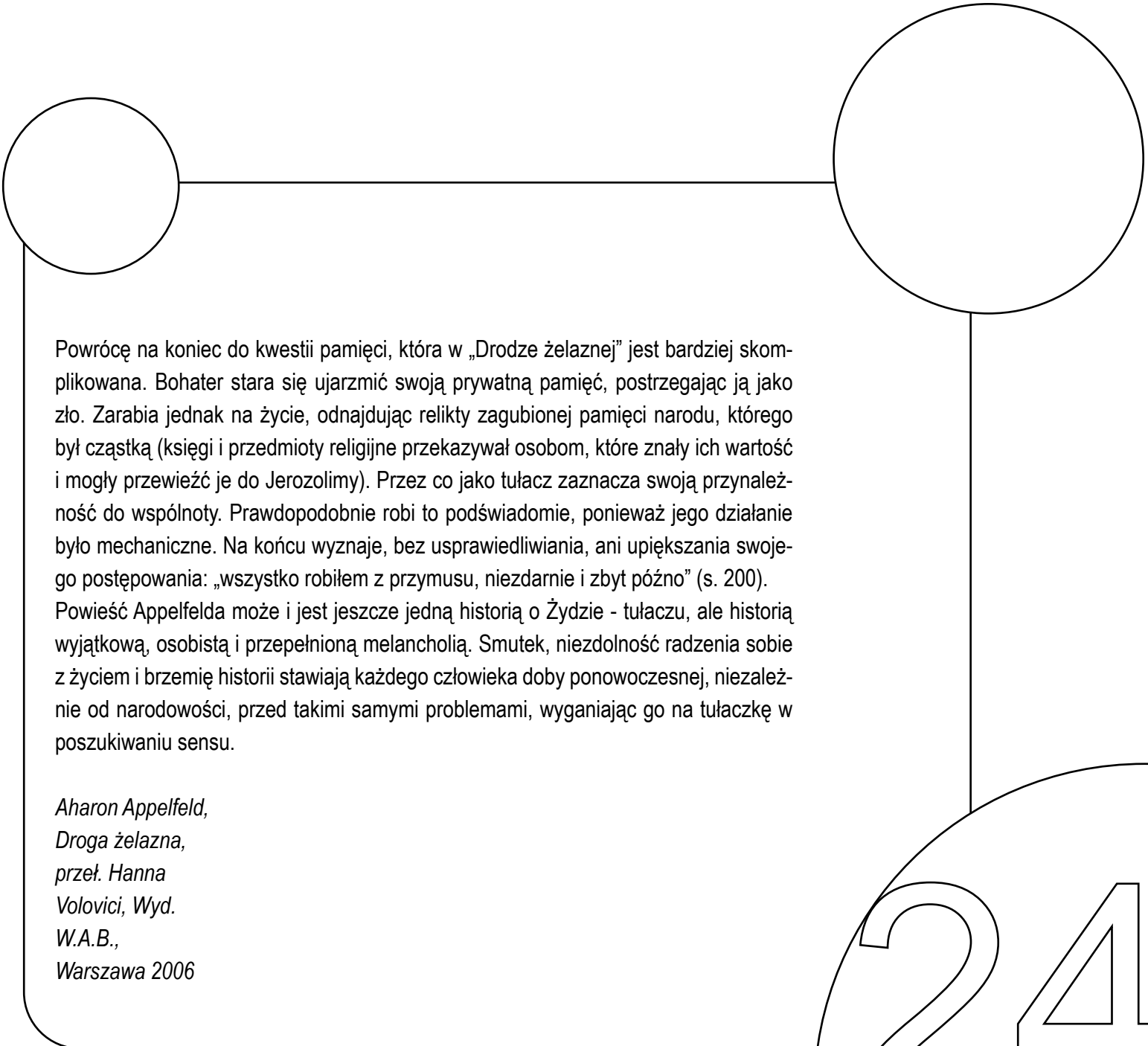
„Droga żelazna” jest paralełą wędrówki narodu izraelskiego do Ziemi Obiecanej. W ogóle istnieje tu wiele nawiązań do symboliki biblijnej, jednak są one jej odwróceniem, zaprzeczeniem. Erwin, jak Chrystus, umarł (symbolicznie) i narodził się ponownie po trzech dniach (Niemcy wieźli ich na śmierć w zaryglowanych wagonach, jednak potem porzucili pociąg). Od momentu ponownych narodzin rozpoczyna swoją tułaczkę, nigdzie „nie zakotwiczone” życie. Jednak owo „zmartwychwstanie” nie było dla niego



powodem do radości, gdyż jak stwierdza: „Ani śmierć, ani powrót do życia nie mają w sobie nic wspaniałego, wzniosłego” (s. 16).

Czterdziestoletnia wędrówka bohatera zwieńczona zostaje sukcesem, wroga pokonano – Eryk zastrzelił mordercę rodziców. Tyle że jego osiągnięty cel, jego Ziemia Obiecana, jest odwróconym symbolem, zakończonym śmiercią, a nie wizją nowego, lepszego życia (gdyby nie kłamstwo narodu izraelskiego wędrówka do Ziemi Obiecanej zajęłaby im nie czterdzieści lat, lecz kilkanaście dni). Co mu więc pozostaje po dotarciu do wytyczonego punktu? Jeszcze jedno, finałowe zadanie, po którym życie straci całkowicie sens. Jest nim podpalenie miejscowości Wirblbah. Właśnie w tej miejscinie, w której „nie ma nic poza ulicą pełną składów towarowych, kilkoma barakami dla strażników i jednym nędznym hotelikiem” (s. 15) narodził się na nowo. Życie, tak samo jak i coroczna podróż, zatoczyło koło, które Erwin dotpelił w akcie autodestrukcji. Ze spalaniem miasta „spalił” również pamięć, która była dla niego przekleństwem. Odczuwał ją niemal fizycznie. Był wciąż uwikłany w stare historie. Każde miasto, do którego się udał, niesło ze sobą inne wspomnienia, wskrzeszało do życia miejsca i osoby.

Coroczna wędrówka bohatera przerodziła się w rytuał do tego stopnia, że na każdym kroku była do przewidzenia. Wynajmował zawsze ten sam hotel, jeździł z tym samym szoferem etc. Każdemu powtórzeniu zagraża jednak moment bezrefleksyjności, mechaniczne wykonywanie wyuczonej czynności, jak Żydom, którzy składając ofiarę z baranka dokonywali bezmyślnej rzezi zwierząt, nie dostrzegając w niewinnym stworzeniu symbolu ukrzyżowanego Chrystusa.



Powrócę na koniec do kwestii pamięci, która w „Drodze żelaznej” jest bardziej skomplikowana. Bohater stara się ujarzmić swoją prywatną pamięć, postrzegając ją jako zło. Zarabia jednak na życie, odnajdując relikty zagubionej pamięci narodu, którego był częścią (księgi i przedmioty religijne przekazywał osobom, które znały ich wartość i mogły przewieźć je do Jerozolimy). Przez co jako tułacz zaznacza swoją przynależność do wspólnoty. Prawdopodobnie robi to podświadomie, ponieważ jego działanie było mechaniczne. Na końcu wyznaje, bez usprawiedliwiania, ani upiększania swojego postępowania: „wszystko robiłem z przymusu, niezdarnie i zbyt późno” (s. 200). Powieść Appelfelda może i jest jeszcze jedną historią o Żydzie - tułaczu, ale historią wyjątkową, osobistą i przepelnioną melancholią. Smutek, niezdolność radzenia sobie z życiem i brzemień historii stawiają każdego człowieka doby ponowoczesnej, niezależnie od narodowości, przed takimi samymi problemami, wyganiając go na tułaczkę w poszukiwaniu sensu.

*Aharon Appelfeld,  
Droga żelazna,  
przeł. Hanna  
Volovici, Wyd.  
W.A.B.,  
Warszawa 2006*

Nina Olszewska

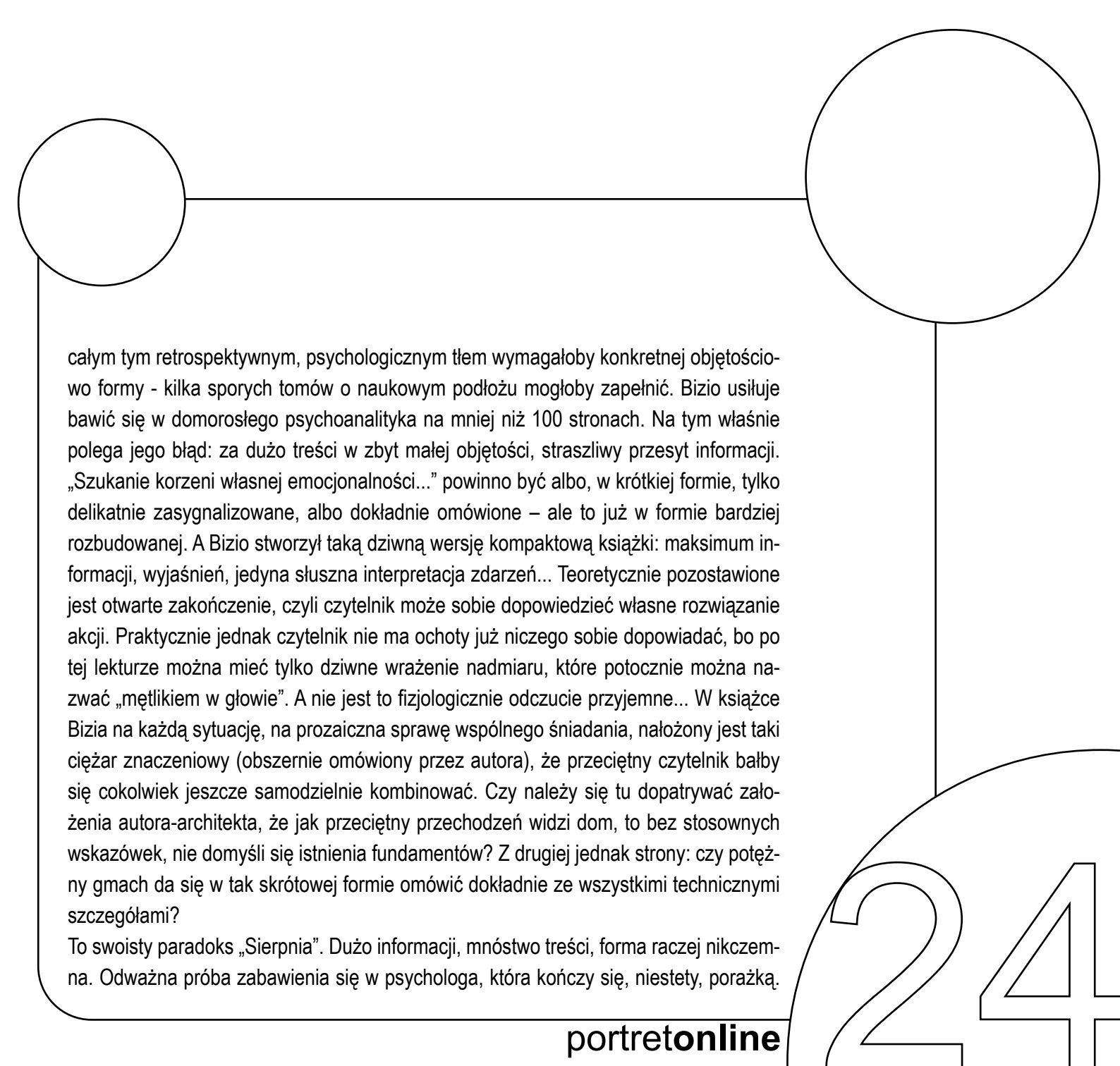
## Od nadmiaru czasem głowa boli...



Gdybym miała opisać książkę idealną... No dobrze, nie idealną, ale dobrą po prostu... Nie może być za długa, żeby przypadkiem treść nie zgubiła się w natłoku słów. Dobra książka ma być wstępem do dalszej, samodzielnej pracy odbiorcy, nigdy nie może być dopowiedziana do końca, ma umożliwić swobodną interpretację. Ma stawiać pytania, a nie podsuwać gotowe odpowiedzi.

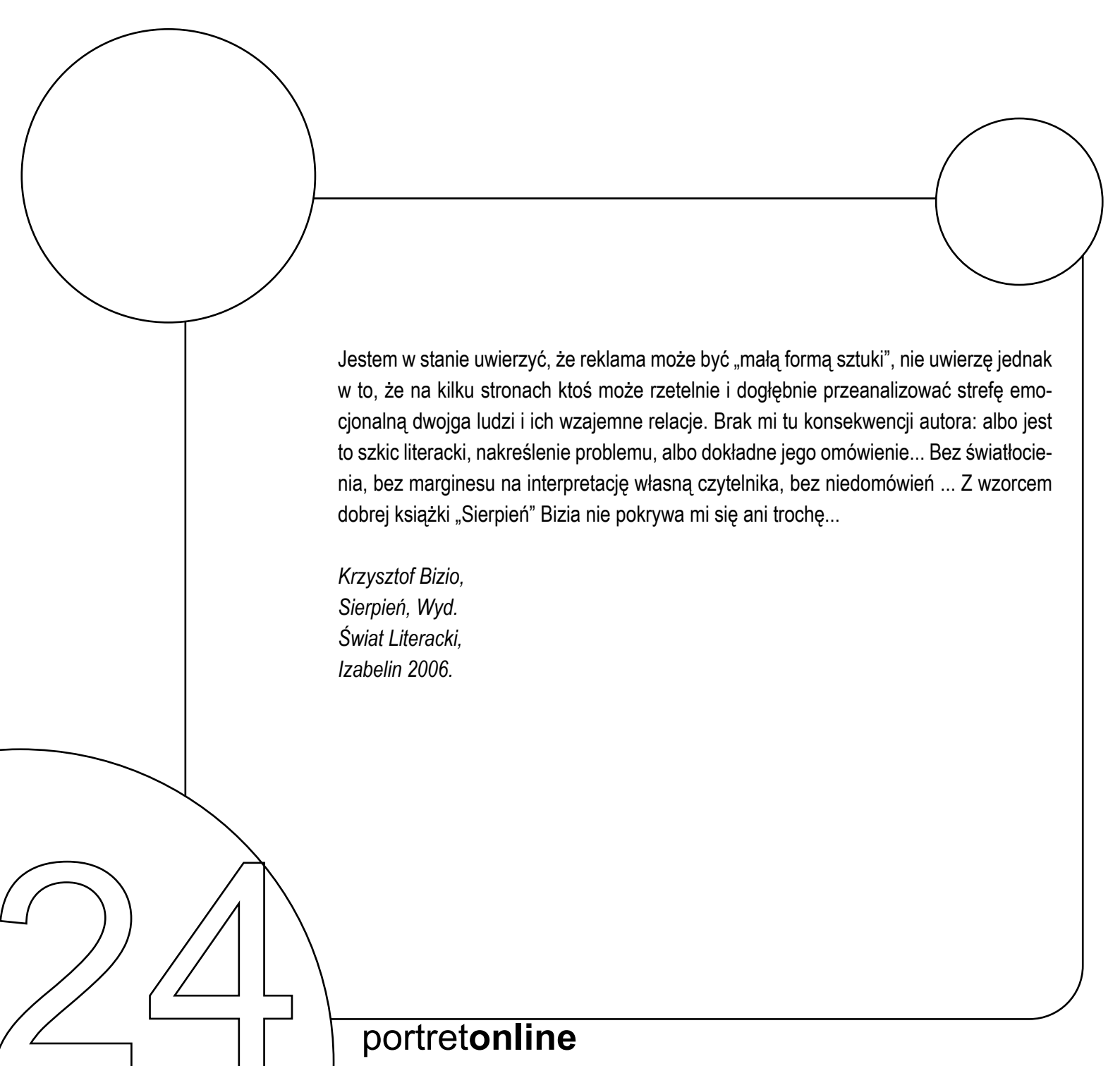
„Sierpień” Krzysztofa Bizio rozmiarami nie grzeszy. Cieniutka, malutka książeczka zapowiadana jako: „...opowieść o dwójce młodych ludzi poszukujących korzeni własnej emocjonalności...”. Spodziewałam się ciekawej, szkicowo zarysowanej historii, kilku scenek, paru wypowiedzi i ogromnego pola do domysłów dla czytelnika. Dobrej książki się po prostu spodziewałam. Ale...

Krzysztof Bizio jest architektem, co nie jest tajemnicą. Moim zdaniem jego przyzwyczajenia zawodowe znalazły odbicie w książce. Nie wystarczyło autorowi przedstawienie ogólnego zarysu: zaprezentował całość konstrukcji, od fundamentów począwszy, na dodatek w rzucie z kilku stron naraz. Jeden mały związek, a taka przytłaczająca ilość faktów! Na dodatek poznajemy nie tylko i jej, i jego spojrzenie – mamy jeszcze fragmenty nagranych na dyktafon wypowiedzi obojga. Każde słowo, każdy gest wytłumaczony jest od podstaw. Na dodatek to nie jest prosta historia. Bohaterowie są ludźmi trudnymi, nadwrażliwymi, z problemami emocjonalnymi sięgającymi korzeni do dzieciństwa. Rzetelne przedstawienie ich relacji z



całym tym retrospektywnym, psychologicznym tłem wymagałoby konkretnej objętościowo formy - kilka sporych tomów o naukowym podłożu mogłoby zapełnić. Bizio usiłuje bawić się w domorosłego psychoanalityka na mniej niż 100 stronach. Na tym właśnie polega jego błąd: za dużo treści w zbyt małej objętości, straszliwy przesyt informacji. „Szukanie korzeni własnej emocjonalności...” powinno być albo, w krótkiej formie, tylko delikatnie zasygnalizowane, albo dokładnie omówione – ale to już w formie bardziej rozbudowanej. A Bizio stworzył taką dziwną wersję kompaktową książki: maksimum informacji, wyjaśnień, jedyna słuszna interpretacja zdarzeń... Teoretycznie pozostawione jest otwarte zakończenie, czyli czytelnik może sobie dopowiedzieć własne rozwiązanie akcji. Praktycznie jednak czytelnik nie ma ochoty już niczego sobie dopowiadać, bo po tej lekturze można mieć tylko dziwne wrażenie nadmiaru, które potocznie można nazwać „mętlikiem w głowie”. A nie jest to fizjologicznie odczucie przyjemne... W książce Bizia na każdą sytuację, na prozaiczną sprawę wspólnego śniadania, nałożony jest taki ciężar znaczeniowy (obszernie omówiony przez autora), że przeciętny czytelnik bałby się cokolwiek jeszcze samodzielnie kombinować. Czy należy się tu dopatrywać założenia autora-architekta, że jak przeciętny przechodzień widzi dom, to bez stosownych wskazówek, nie domyśli się istnienia fundamentów? Z drugiej jednak strony: czy potężny gmach da się w tak skrótovej formie omówić dokładnie ze wszystkimi technicznymi szczegółami?

To swoisty paradoks „Sierpnia”. Dużo informacji, mnóstwo treści, forma raczej nikczemna. Odważna próba zabawienia się w psychologa, która kończy się, niestety, porażką.



Jestem w stanie uwierzyć, że reklama może być „małą formą sztuki”, nie uwierzę jednak w to, że na kilku stronach ktoś może rzetelnie i dogłębnie przeanalizować strefę emocjonalną dwojga ludzi i ich wzajemne relacje. Brak mi tu konsekwencji autora: albo jest to szkic literacki, nakreślenie problemu, albo dokładne jego omówienie... Bez światłocienia, bez marginesu na interpretację własną czytelnika, bez niedomówień ... Z wzorcem dobrej książki „Sierpień” Bizia nie pokrywa mi się ani trochę...

*Krzysztof Bizio,  
Sierpień, Wyd.  
Świat Literacki,  
Izabelin 2006.*

Łukasz Świercz


## Bardzo ewentualnie

„Warszawskie wersety” Michała Sufina to prawdopodobnie kolejna książka, której autor miał stać się szybko gwiazdą literatury. Niestety, w tym wypadku świecić jasno długo jeszcze nie będzie.

Jako że Sufin uznał fabułę za zbędną ekstrawagancję, nie warto silić się na jej prezentację. Najmocniejszą bowiem stroną jego książki jest język. Odkąd Borges „odkrył”, że świat jest wielką biblioteką, literaturę ogarnął szal intertekstualności: wszyscy chcieli wcisnąć się na biblioteczne półki. Zamiast tekstów budowano jednak konteksty do dzieł już istniejących. Sufin w tym biegu ku intertekstualności zszedł o jeden poziom niżej. Skonstruował powieść najeżoną inter-zdaniami i inter-wyrazami. „Warszawskie wersety” opierają się na brukowo-blokowym metajęzyku: język zamiast budować, zamyka przestrzeń, stereotypizuje świat i neguje wartości. Niestety, Sufin nie jest w tym ani trochę oryginalny. Najlepsze fragmenty powieści są tylko kiepskimi kalkami z Doroty Masłowskiej, najgorsze zaś przypominają deliryczny bełkot. Być może właśnie o to Sufinowi chodziło. Czytając bo-wiem jego tekst, nie można oprzeć się wrażeniu, że autor męczył go między jednym a drugim kieliszkiem.

Narrator „Wersetów” przypomina staropolskiego Marchołta, błazna, którego światopogląd jest ciągiem jaskrawych opozycji. Rozpoznaje siebie poprzez szukanie tego, czym nie jest, by w rezultacie stać się pozbawionym tożsamości, bezwolnym dzieciakiem, którym dowolnie steruje rzeczywistość. Bohater „Wersetów” próbuje nas zresztą przekonać, że wszystko dzieje się poza nim, bez jego woli: „Spierdalam się trzy razy na obę z drabiny bez odszkodowania, tracę życie, wpadam pod samochód, ale w ostatnich momentach łapią mnie przypadkowi przechodnie i wciągają z powrotem do baru”.

Wróćmy jeszcze do kwestii języka. Wittgenstein twierdził że granice naszego języka są granicami naszego świata. Współczesna proza „zawieszona” jest na języku, pisarki takie jak Olga Tokarczuk albo Magdalena Tulli potrafią malować nim pejzaże, budować



cieple i przyjazne światy, Masłowska umie ożywić przestrzeń marginesu. Świątek Sufina jest smutny, amorficzny, czarno-biały. Autor „Wersetów” szokuje trochę na siłę. Tworzy niesmaczne me-taforę, burzy tabu. Garściami czerpie z poetyk zdolniejszych kolegów swojego pokolenia. Rejestruje wszystkie ciekawsze zjawiska i motywy, nie umie ich jednak wykorzystać w sposób twórczy. Nie można zarzucić Sufinowi jednego: niekonsekwencji. Na poziomie stylistycznym jest bardzo jednorodny, wręcz monolityczny. Stosuje język podwórka bez względu na przestrzeń tematyczną, w jakiej się porusza. Ta swoiście rozumiana demokratyzacja sprawia, że obok gejklubów, pokemonów i dresów pojawiają się Żydzi i tragedia w Oświęcimiu.

Tekst Sufina mógłby przypaść do gustu właściwie tylko miłośnikom „brudnej” poezji, poematów prozą Stanisława Przybyszewskiego oraz językoznawcom (w celach naukowych). Ewentualnie możemy ją zabrać do pociągu lub tramwaju, ale bardzo ewentualnie.

*Michał Sufin,  
Warszawskie wersety,  
Wyd. Czarne,  
Wołowiec 2006.*

Marta Skłodowska



## Śmiech receptą na wszystko

Kiedy pierwszy raz wzięłam książkę Marka Ławrynowicza do ręki i przeczytałam jej krótki opis na okładce, skrzywiłam się nieco. Kolejne opowieści o śmierci w dobie wszechogarniającego kryzysu? - pomyślałam zdegustowana, pomimo tego zaczęłam czytać. „Korytarz” to zbiór siedmiu opowieści, a każda z nich traktuje... o śmierci. Tyle że z humorem i na wesoło, a smutek miesza się co chwilę z radością.


Już od pierwszych kart opowiadania „Czarne oczy nie chcą spać” czujemy się wtłoczeni w specyficznie czeski klimat. Praga, pełna nieznanych i dziwacznych zaułków, uliczek, obok wzmianki o ustroju politycznym. Barwna biografia czesko-polsko-rosyjsko-ukraińsko-tatarskiego statysty filmowego, Michala Bohutskiego, zachwyca swoją różnorodnością i rozmachem. Znajdziemy tu wiele elementów charakterystycznych i dla pastiszu, i dla groteski, i dla melodramatu.

Opowiadanie „Miejsce” to ironiczna opowieść o walce o dobre miejsce pochówku. Niegroźne szaleństwa głównego bohatera – Kazimierza, przeplatają się z wyrachowaniem księdza czy zarządcy cmentarza. Autor

ukazuje niezwykle kontrastowo szaleństwo, jakie potrafi ogarnąć człowieka pod wpływem władzy, ale skupia się też na rozpaczliwej walce o zachowanie pamięci o nas samych. Przeraża dosadność i prawdziwość poglądu, iż po śmierci tylko obce spojrzenia cmentarnych przechodniów mogą zapewnić nam trwałość.

Bezgraniczna miłość do władczyni – Imperatorowej, najbardziej wyraźna jest, gdy opi-

24

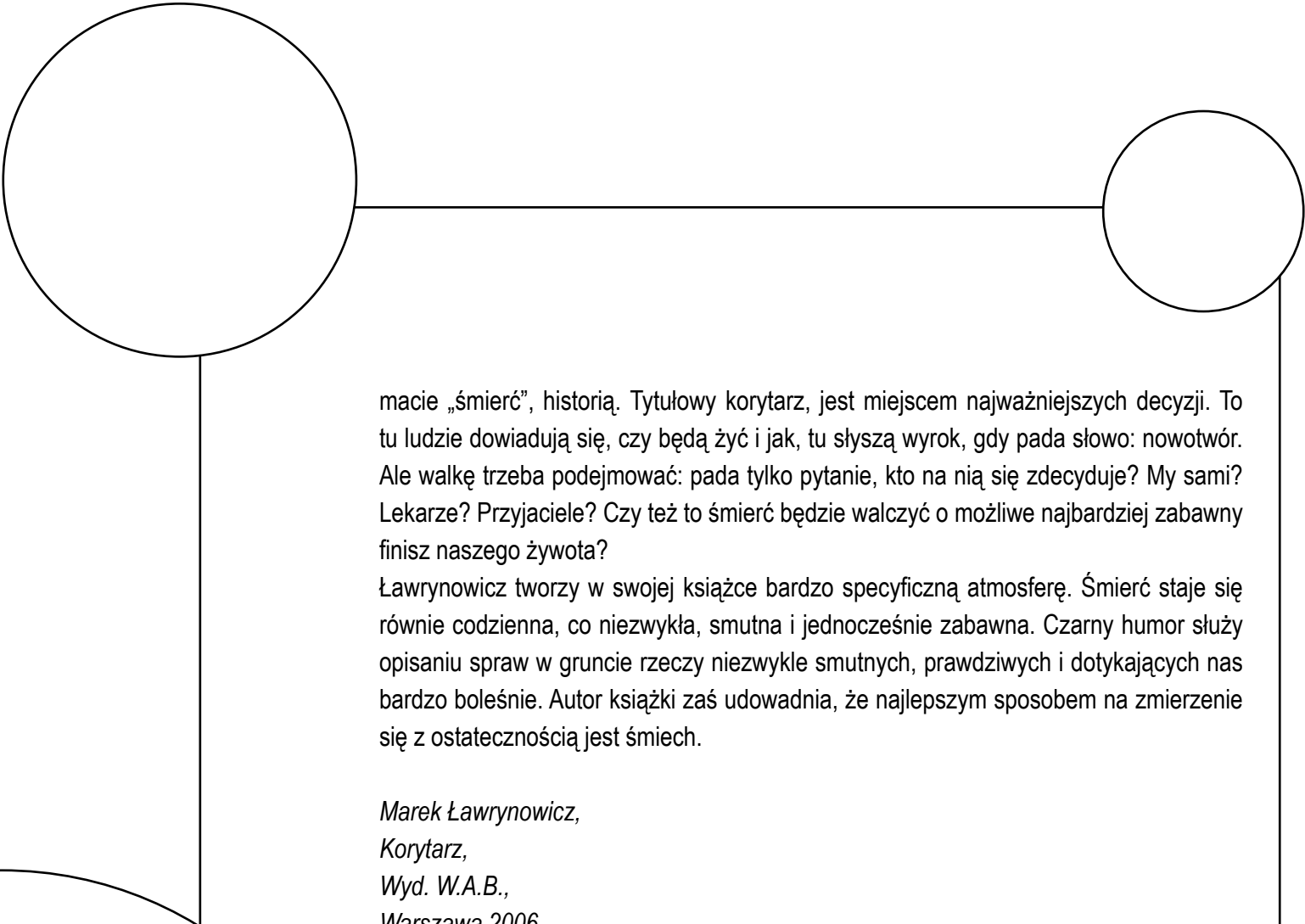


suje się ją w najdoskonalszej prostocie. „Jednościenne” wiejskie dworki, wzniesione dla radości Mateczki, podniesione są niemal do pozycji „szklanych domów”, symbolu dobrobytu i piękna. Jak bezwarunkowa może być chęć niesienia radości władcy? Jak gorzka może być, dla czytelnika, nieświadoma uluda bohatera? Ławrynowicz pokazuje, że miłość i oddanie, to proste w swej naturze uczucia. Proste i fundamentalne, choć rodzić też mogą bardzo negatywne emocje i tak naprawdę przyczyniać się do zaistnienia zła.

Każdy krok, jest jakby dążeniem do wypełnienia listy, na której spisano nas wszystkich na straty. Grupa podstarzałych artystów kabaretowych wyrusza w trasę, a wraz z nimi zły los. Śmierć dosięga po kolei każdego z członków grupy, w dziwaczny sposób splata drogi. Najbardziej soczysta jest pointa całej opowieści, którą wygłasza jedyny ocalały artysta – Karol. Jest to streszczenie losów jego scenicznych kolegów, których droga do mogiły, choć prawdziwa, jest na tyle niezwykła, że staje się najlepszym i najzabawniejszym monologiem kabaretowym. Śmiejemy się więc w obliczu śmierci.

Opowiadanie „Nafta” chyba najbardziej odbiega swoim klimatem od pozostałych historii. To, co nieuchronne, zawsze nas dosięgnie. Pytanie tylko, czy ogarnięci ziemskimi ograniczeniami, normami i nakazami zdołamy ocalić własne sumienie, pamięć, która będzie świadectwem, że byliśmy takimi właśnie ludźmi, jakimi pragnęliśmy być. Czy mógł pan, panie Stanisławie, nie sprzedawać im tej śmierci? Ławrynowicz pozostawia to pytanie bez odpowiedzi.

Ostatnia opowieść, jest chyba najbardziej współczesną, najmocniej umocowaną w te-



macie „śmierć”, historią. Tytułowy korytarz, jest miejscem najważniejszych decyzji. To tu ludzie dowiadują się, czy będą żyć i jak, tu słyszą wyrok, gdy pada słowo: nowotwór. Ale walkę trzeba podejmować: pada tylko pytanie, kto na nią się zdecyduje? My sami? Lekarze? Przyjaciele? Czy też to śmierć będzie walczyć o możliwe najbardziej zabawny finisz naszego żywota?

Ławrynowicz tworzy w swojej książce bardzo specyficzną atmosferę. Śmierć staje się równie codzienna, co niezwykła, smutna i jednocześnie zabawna. Czarny humor służy opisaniu spraw w gruncie rzeczy niezwykle smutnych, prawdziwych i dotyczących nas bardzo boleśnie. Autor książki zaś udowadnia, że najlepszym sposobem na zmierzenie się z ostatecznością jest śmiech.

*Marek Ławrynowicz,  
Korytarz,  
Wyd. W.A.B.,  
Warszawa 2006.*

HANNA  
SAMSON



**Pokój  
żeńsko-męski  
na chwałę patriarchy**

Magdalena Ludwiczak

## Feministyczny galop, czyli jak facet rujnuje kobiecą psyche


Główny bohater książki pt. „Pokój żeńsko-męski na chwałę patriarchy” Hanny Samson to... „prącie”, które jest podopiecznym nadopiekuńczej, złotoustej Barbary Patryckiej. Pozwoliłam sobie na żart, bo „Pokój...” jest jedną, wielką groteską, współczesną komedią o stosunkach damsko-męskich, sprytnie ujętą przez Hannę Samson w opowieść, której galopujące tempo, nie pozwala czytelnikowi oderwać się od książki.

Barbara Patrycka, główna bohaterka, to nadzwyczajna kobieta sukcesu. Dużą popularność zawdzięcza autorskiej (i bardzo oryginalnej!) metodzie diagnozowania i terapii osobowości za pomocą prącia. Pisze felietony do „Wyuzdanego Magazynu dla Pań”, w których dokonuje charakterystyki mężczyzn li tylko na podstawie zdjęć ich penisów. No i, najważniejsze, Basia jest właścicielką słynnej Kliniki Prącia, w której osobicie stawia diagnozy. Ponadto co wieczór występuje w autorskim programie „Pytanie o pyte”, bijącym, oczywiście, rekordy oglądalności.

Barbara jest, jak o sobie sama mówi, sławna, uwielbiana, szczupła i bogata. Do szczęścia nie brakuje jej nawet namiętnego, fantastycznego faceta. Bo taka kobieta jak Barbara Patrycka i w tej dziedzinie ma powodzenie. Jej wybrankiem jest Ogr, superfacet, który pewnego ranka postanawia się z nią ożenić. W seksualnej euforii Barbara zgadza się i wkrótce, ku swojemu lekkiemu zdziwieniu, zostaje Barbarą... Ogr.

I cóż takiego się zmienia w życiu przebojowej Basi, po wyjściu za mąż za mężczyznę jej życia? Czy sama instytucja małżeństwa może zniewolić tak silną i niezależną kobietę? Basia kocha Ogra i robi dla niego wszystko. Świeżo upieczona małżonka nie może przecież dopuścić do rozwodu po zaledwie kilku miesiącach małżeństwa! Co

portretonline




zatem Barbara sobie da odebrać, żeby małżonek był zadowolony?

Oto rzeczy, na które bohaterka się potulnie godzi dla dobra małżeństwa: tydzień miodowy romantycznie spędza z mężem w... domu, bo Ogr jest domatorem; posiłki przyrządza osobiście na życzenie męża; Ogr wybiera żonie sukienki, gdy ta planuje wyjść z domu; zajmuje się także selekcją jej przyjaciół. W końcu Basia rzuca pracę w telewizji, a zaraz potem, zamyka życiowy interes, czyli Klinikę Prącia. Ogr po ślubie nie może znieść penisów obcych mężczyzn, które dotąd były przedmiotem badań medycznych Barbary, choć nie przeszkadzało to mu jakoś do dnia zaślubin. Dziwi zachowanie Ogra, bo przecież w 'takiej' Basi Partyckiej się zakochał! Taka właśnie 'kontrowersyjna bizneswoman' rozbudziła w nim pożądanie.

Bohaterka wyrzeka się dorobku całego życia. Zamyka się w domu i z obiektu westchnień wielu panów, a nawet niektórych pań, staje się zwykłą służącą swojego męża. Po spełnieniu wszystkich żądań Ogra, Basia początkowo wmawia sobie radość z bycia kurą domową. Nie trzeba już wyjaśniać, do jakiego stanu psychicznego doprowadzą domowe pielesze przebojową dotąd Barbarę. Kołem ratunkowym okaże się córka Basi.

Książka Hanny Samson jest smutno-śmieszna. Śmieszne jest to, że cała fabuła skupia się wciąż wokół „prącia”, na którym Barbara robi tak oszołamiającą karierę. To „prącie” jest synonimem płytkiego mężczyzny i, zdaje się, że rozumek ma on niewielki, za to instynkt samozachowawczy jest głęboko u niego rozwinięty. Smutne, oczywiście, jest to, co stanowi istotę opowiadania, a co jest przykryte 'groteskowym kocem'.



A mianowicie to, jak facet niszczy ukochanej kobiecie jej szczęście osobiste, gdy tylko stanie się jego żoną. Nawet Barbara, która jest medialną bohaterką narodową, daje się pozbawić swej niezależności, przebojowości i kobiecości na rzecz faceta, który przez powiedzenie sakramentalnego 'tak', nagle staje się domowym dyktatorem. Jak, gdzie i z kim Basia może prowadzić nowe życie, mówi jej pan i władca. Nawet ona sama nie spodziewała się tego po sobie, że może się dać tak zniewolić.

„Pokój...” Samson może zaskoczyć, a nawet zawstydzić. Polskiego, tzw. przeciętnego, czytelnika mogą bulwersować nazbyt śmiałe sceny erotyczne. Dla szablonowo wychowanych rodaków, Samson zapewne już jest skandalistką. Zaś Barbara Patrycka przebija swoją popularnością dzisiejszych bohaterów popkultury, którzy czytelnikowi są znani z pierwszych stron tabloidów. Polecam książkę tym, którzy lubią historie odważne, powiedziane wprost, bez podtekstów, dosadne, ale bez wulgarności i prostactwa.

*Hanna Samson,  
Pokój żeńsko-męski na chwałę patriarchy,  
Wyd.  
Warszawa 2006.*